

Futurologia i chichot diabła

prof. Jerzy Jarzębski

posłowie do wydania książkowego

Tekst został zamieszczony na portalu solaris.lem.pl

Link do oryginału: <https://solaris.lem.pl/ksiazki/beletrystyka/kongres-futurologiczny/93-poslowie-kongres-futurologiczny>

Kongres futurologiczny nosi datę powstania: listopad 1970. Dla futurologii były to piękne czasy: uczeni doszli mianowicie do wniosku, że przepowiadanie przyszłości z rąk wróżek przejść powinno w ręce ludzi z fachowym przygotowaniem, rocznikami statystycznymi w ręku i komputerami karmionymi pożywną strawą danych. Ekstrapolacja stała się boginią: przedłużano na wykresach krzywe wzrostu, analizowano zależność nowych odkryć od finansowych nakładów na badania, wyznaczano przybliżone daty przełamywania kolejnych barier na drodze do powszechnego szczęścia i dobrobytu, pokonywano (na papierze) groźbę raka i innych trapiących ludzkość chorób. Futurolog stał się guru tej epoki: on bowiem wiedział, ku czemu wszystko zmierza, a jeśli nawet mylił się czasami, to i tak – w jego imieniu i na jego rzecz – zwyciężyć miała statystyka.

Stosunek Lema do tych uczonych prognoz był zawsze pełen sceptycyzmu: wyśmiewał się z nich – i z namaszczonego tonu przepowiadaczy przyszłości – w wielu pisanych wtedy i później esejach. Kiedy w okresie kryzysu naftowego wygłaszał serię wykładów dla polonistów z Uniwersytetu Jagiellońskiego, zbaczał wciąż z tematu: literatura, aby kpić z uczonych, z których nikt nie przewidział, że ropy może zabraknąć nie dlatego, że złoża się wyczerpią, ale dlatego, że producenci nie zechcą jej sprzedawać. Otóż takie wykroczenie przeciw rynkowej ortodoksji w istocie żadnemu z futurologów nie przyszło wcześniej do głowy. Czytaliśmy w tych latach *Szok przyszłości* Alвина Tofflera, książkę pełną interesujących idei na temat kulturowych i psychologicznych skutków ubocznych, jakie wywołać mogą procesy zachodzące we współczesnej cywilizacji, przyjmującą jednak za dobrą monetę tezę, że wkrótce cały świat wybierze rozrutny, energoi materiałochłonny model amerykańskiej gospodarki. *Szok przyszłości* ukazał się w lipcu 1970, na cztery miesiące przed ukończeniem *Kongresu futurologicznego*. Futurologia była w tym czasie nauką głęboko ambiwalentną: z jednej strony optymistyczną, służącą do tego głównie, by opracować terminarz przyszłych osiągnięć, z drugiej – katastroficzną, czego próbka w spisie referatów dostarczonym Tichemu na wstępie jego przygód. Ale podejrzenie, iż przyszłość nie musi rysować się tak różowo, jak to wynika z wizji technokratów, nie było wtedy wcale powszechne, a przynajmniej nie za katastrofizm, ale za rzeczowe przewidywania służące planowaniu płaciły futurologom rządowe agencje. Dopiero w dwa lata później przyszło otrzeźwienie – za sprawą *Granicy wzrostu*, pierwszego raportu przygotowanego przez uczonych z Massachusetts Institute of Technology dla Klubu Rzymskiego, raportu ostrzegającego przed zgubnymi skutkami przeludnienia, wyczerpania surowców naturalnych, zniszczenia środowiska i zwiększających się różnic zamożności społeczeństw w skali globu.

Oto kontekst, w jakim pojawia się tragikomiczna groteska Lema. Na kongres futurologów odbywający się w fantastycznej republice Costaricany wysyła on Ijona Tichego. Nie przypadkiem właśnie jego: to ten z Lemowych bohaterów, którego rolą jest często przyglądanie się niejako z zewnątrz różnym społecznym i politycznym (także międzyplanetarnym) gremiom, które próbują określić, „jaki jest świat”, sprostac Całości poprzez ugruntowane systemy poglądów, zasad etycznych bądź ustaw. Jednym z istotnych czynników tej i innych opowieści z cyklu „tichianów” jest ton głosu narratora-bohatera: Tichy obieżyświat, co niejedno w życiu widział, byle czym się nie zadziwi, jest pełen dobrej woli, skory do współpracy i akceptacji cudzych sądów ogólnych na temat rzeczywistości – nawet jeśli godzą w jego najgłębiej ludzkie, osobiste doświadczenie i gatunkowe *votum separatum*. Napotkane niewygody znosi ze spokojem, choć bywa przerażony sytuacją, każdemu absurdowi jednak stara się sprostac swoim zdrowym, sceptycznym rozsądkiem. Oto, rzecz można, idealny świadek aberracji umysłów i zbiorowych szaleństw. Jemu to każe Lem zmierzyć się z „szaleństwem przyszłości”.

Jakiż tego szaleństwa pierwszy wymiar? Otóż ani w pierwszym rządzie technologiczny, ani cywilizacyjny. Lem zdaje się podkreślać, że pierwszą dziedziną, która w najbliższej perspektywie może ulec kryzysowi, jest kultura i funkcjonujące w niej systemy wartości. A zatem nie w tym rzecz, jakie w najbliższym czasie wynajdziemy techniczne gadżety, ale w tym, czy ich zjawienie się nie wesprze czynników rozpadowych, działających przeciw tradycyjnym systemom etycznym, które dotychczas utrzymywały w ryzach życie społeczne. Bo wszak jedyny kataklizm, który w *Kongresie futurologicznym* zachodzi „realnie”, to wybuch anarchicznych ruchów rewolucyjnych, zwalczanych przez państwo środkami psychemicznymi, któremu towarzyszy – równie anarchiczne – rozpasanie instynktów konsumpcyjnych, z naciskiem na wyzwoloną z wszelkich zahamowań erotykę. Instynkt niszczenia chodzi tam pod rękę z nieopanowaną skłonnością do drażnienia ośrodków rozkoszy, a prymitywizm ideologii z wyrafinowaniem środków, jakimi dla utrzymania porządku dysponują rządzący. Jeśli więc traktować *Kongres* jako prorocstwo, to w tej akurat sferze – choć z groteskowym przerysowaniem – autor przewidywał całkiem akuratnie, a przyglupi anarchista, noszący się w opowiadaniu z fuzją, z której zamierza zabić papieża, zmaterializował się niespodzianie w jedenaście lat później w postaci Alego Agcy. Reszta w tej opowieści jest ułudą, wcale nieźle zakotwiczoną w realiach, nieco jednak innego rodzaju.

Opowieść o przyszłości jest tematem od wieków zakorzenionym w literaturze – podobnie jak opowieść o „świecie idealnym” i „świecie koszmaru”, to więc, co sobie – za sprawą chemii – halucynuje Tichy, nie tyle odnosić należy do świata *in cruda*, ile do pewnych wizji, jakie stwarzają od wielu lat literatura, film czy natchniona ideologicznie eseistyka. Tichy marzy zatem swe przygody w kontekście eutopii i dystopii (jak przyjęło się nazywać pozytywne i negatywne wersje utopijnych światów). Obydwie te wersje pełniły zawsze istotną rolę społeczną: pokazywały albo rzeczywistość idealną, przedmiot dążeń i konstruktywnych działań, albo rzeczywistość spełnionej Apokalipsy – jako ostrzeżenie i wezwanie do opamiętania. Futurologia współczesna, choć chciałaby być nauką, nigdy nie uwolniła się od tego rodzaju literackich schematów, ciąży więc albo w stronę eutopijną, albo dystopijną, w zależności od zwierzchniego celu, jaki postawił sobie badacz. Dlatego świat, w jakim na koniec ląduje Tichy, ma dla nas znajome rysy: przypomina jedną z wielu zrealizowanych już wizji przyszłościowych rajów lub piekieł.

Na czym więc polega oryginalność opowieści Lema? Oczywiście na tym, że obydwaj typy utopijnych światów zrealizował naraz, w tym samym miejscu. Cywilizacja luksusu i spełnienia życzeń jest tam tą samą cywilizacją, w której kilkadziesiąt miliardów ludzi dogorywa w nieopisanej nędzy. Tyle że bohaterowie tej tragedii nic o tym nie wiedzą i mają się za dzieci szczęścia. Ma ten chwyt kilka naraz funkcji. Po pierwsze – jest brawurowym pomysłem literackim, wynika zeń przecie wiele groteskowych sytuacji, w których błogość rodząca się z obserwacji naskórka rzeczywistości kłóci się z nieuświadomionymi kłopotami ciała, borykającego się samopas z trudami życia dla psychiki jednostki nie istniejącymi. Toż przecie im mocniej człowiek z tamtego świata naciska pedał gazu fantomowego samochodu na zalanej słońcem asfaltowej jezdni, tym szybciej biec musi jego zabiedzone ciało po brudnym śniegu. Świat ułudy nie stawia jednostce żadnego oporu – nawet Nagrody Nobla rozdaje się tam, komu tylko przyjdzie na nie ochota, a obok czekają oryginały płócien Rembrandta, które każdy może sobie tanio kupić. Oporu nie stawia też język, w którym rozmnożyła się olbrzymia ilość neologizmów i neosemantyzmów, próbujących odpowiadać na bogactwo nowych zjawisk i nowych możliwości. Cywilizacja obfitości jest tam przedsięwzięciem zrealizowanym totalnie – aż do groteskowo-komicznej przesady, bo też jest ona dziełem żarłocznego, nie znającego miary „ducha”, któremu ciało – „uczciwe i pocziwe”, jak mówił Mrozek – przestaje stać na zawadzie. Jest więc tak, jakby utopijny raj przyszłości jawił się autorowi jako wizja, którą można zrealizować jak gdyby tylko wtedy, kiedy odrzuci się wszelkie uwarunkowania i bariery stawiane przez rzeczywistość, w krainie rozpiętanej wyobraźni.

A teraz druga funkcja Lemowego chwytu: bardziej zbliżona do zadań rzeczywistej futurologii. Możemy przecie zastanowić się, czy autor nie brał w jakiejś mierze poważnie szans realizacji takiego dwoistego świata. Zastrzegam od razu: w żadne tak precyzyjnie wytworzone halucynacje, w żadne obrazy – dla całego społeczeństwa jednakie lub przynajmniej podlegające weryfikacji poprzez porównania – które produkować mogłaby chemia, ani przez chwilę nie uwierzę. To jest właśnie chwyt z repertuaru literackiego, który żadnym „proroctwem” nie jest – tylko chwytem właśnie, służącym realizacji zamiarów autora. Poważniej brałbym inny wniosek, który się tu może nasuwać. Otóż Lem od wielu lat podkreśla, że kultura i technologia współczesna wiodą stopniowo do coraz ciaśniejszego zamknięcia jednostek w fikcyjnych, odgradzonych od rzeczywistości światach. Zbiorowe halucynowanie raju obfitości pod wpływem środków chemicznych nie jest pewnie możliwe, ale żadną fantazją nie jest już kreacja fikcyjnej rzeczywistości wirtualnej – przewidzianej przez Lema już w *Summie technologiae*. Ten akurat wątek podchwyciły literatura i film światowy w nurcie cyberpunka. A zatem możliwy jest nie tyle scenariusz proponowany w *Kongresie futurologicznym*, ile coś trochę innego: w przyszłym świecie pogarszającym się warunkom życia ludzi, spowodowanym bądź przez zniszczenie środowiska, bądź przez wyczerpanie źródeł surowców i odcięcie się bogatych od biednych – pozostawionych swemu losowi, może towarzyszyć polityka „zastaniania” tych niedogodności przez masową ucieczkę w sztuczne, fantomowe rzeczywistości. Przy tym może to mieć charakter albo spontaniczny, „ucieczkowy” właśnie, albo premedytowany i organizowany przez polityków, chcących zapewnić sobie spokój i uwolnienie od roszczeniowego nacisku biedniejszych społeczeństw lub ich niższych, poszkodowanych warstw. Z tego punktu widzenia historia opowiedziana w *Kongresie futurologicznym* nie brzmi już wcale jak groteskowo-fantastyczna bajka.

I jeszcze ostatni aspekt całej tej opowieści: ma ona charakter cykliczny, „nawrotowy”, przy czym każdy ze scenariuszy dalszych zdarzeń, przeżywanych przez Tichego, rozpoczyna się od „pomocnej ręki” zachęcającej bohatera do wyjścia z podziemi zniszczonego „Hiltona”, by nieodmiennie znaleźć rozwiązanie na powrót w cuchnącym kanale, który przez te podziemia płynie. Ale kanał jest „nasz”, swojski, bo prawdziwy, natomiast „pomocna dłoń” wiezie zawsze w jakieś tarapaty. Futurologia w *Kongresie* jest czymś, co ową dłoń przypomina: obiecuje wyjście z kłopotów, ale w istocie oszukuje ile wlezie, a przynajmniej jej wizje świetlane podszyte są koszmarem, pasującym do wymarzonych rajów jak przetarta podszewka do paradnego płaszcza czy zaśniedziały rewers do wypolerowanego awersu miedziaka. Może więc tak należy opowiadać „historię przyszłości”? Jako fabułę z natury rzeczy podejrzaną, bo zbyt łatwo tonącą w błogich marzeniach lub na zmianę epatującą sennym koszmarem – tak czy inaczej mającą w sobie zawsze podwójność widzenia, ambiwalencję, głęboką niepewność co do tego, jaki los jest nam przeznaczony czy zasłużony.

Chichot, jaki rozbrzmiewa w *Kongresie futurologicznym*, jest tedy po trosze chichotem diabelskim, co pewnie nie przeszkadza nam bawić się świetnie przy lekturze tego brawurowego utworu. Bo przecie diabeł siedzi pod podszewką niejednego literackiego arcydzieła – a już na pewno wtóruje uczonym dysputom futurologów.